

Marek Nowakowski:

BOŻE, ZMIŁUJ SIĘ NAD WILNEM!

(opowiadanie ze zbioru "Raport o stanie wojennym")

Zaczęli ich tłuc. A te pały takie mieli! Wielkie, grube maczugi, Specjalne. Bo te, które zazwyczaj widzimy, to są pałeczki-laleczki w porównaniu z tymi drągami. Otoczyli gromadkę wyrostków i zaczęli ich obrabiać.

— Dokunienty, dokumenty! — powtarzali i wcale nie czekając, jak ci chłopcy pokażą swoje dowody, okładali ich po plecach, nerach tymi pałami. Chłopcy łamali się jak łądygi. Niejeden padał. Taki tomot było słychać i stękanie.

To działo się 17 grudnia wieczorem. Czwartego dnia stanu wojny. Cały Plac Zwycięstwa został zablokowany. Mimo to wygarnęli sporo młodzieży.

Jestem człowiekiem przedwojennym. Okupację przeżyłem jako młodzieniec. Toteż dla mnie był to szczególnie przykry widok. Te budy... Te watahy milicyjne z pałami... Ta oprawiana przez nich młodzież... Okupacyjne wspomnienia. I tak mnie замуrowało. Stałem i patrzyłem. Akurat dwaj milicjanci, byki takie, zaczęli obrabiać wątłego chłopaczka w okularach. Istny studenciak z wyglądu.

— Dokumenty! — ryczeli. A w żaden sposób nie dawali mi możliwości okazania dowodu. Co rękę chciał do kieszeni, to oni go pałą prask! Oślaniał się i płakał. Uciec nie mógł. Przyparli do muru biedaka. Uwijali się przy nim jak wściekłe psy.

— Wolnego, panowie! — zawołałem. — Pozwólcie mi wylegitymować się!

Nie wytrzymałem.

Jeden z milicjantów zbliżył się do mnie. Oczy miał dziwne. Błyszczące, nienaturalnie rozszerzone. Musieli ich nafaszerować środkami podniecającymi. Są takie. Wyglądał, jakby był w transie. Więc tak spojrzął i chwycił za klapy jesionki.

— Do budy dziada! — krzyknął.

Już drugi ułapił mnie za kołnierz. Powlekli do stojącej w pobliżu budy. Pomagali sobie kopniakami. Ta buda wyładowana po brzegi. Młodzież, trochę starszych, no i ja... Powieźli nas miastem. Pełnym gazem, na sygnale. Ulice puste, wymiecione. Tylko tu i ówdzie żołnierze z bronią w pogotowiu, a na skrzyżowaniach czołgi. Okupacja.

— Boże, zmiłuj się nad Wilnem! — powiedziałem. I to dosyć głośno, bo ci obok popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. Nie wiem, czemu mi się tak powiedziało. Te słowa! Skąd one się wzięły. Jestem rodem z Wilna.

Wilniuk, jak to mówią. Kiedy Hitler rozpoczął wojnę I było też wiadome, że z drugiej strony rusza nan as wschodni sąsiad, to w jednej z wileńskich gazet ukazał się artykuł wstępny, który kończył się tymi właśnie słowami: „Boże, zmiłuj się nad Wilnem!”. Pustą miałem zupełnie głowę i tylko te słowa objęły się pod czaszką. W której to gazecie mogło być? Wydawali wtedy „Kurier”, „Słowo” i jeszcze...

Nawet niedługo ta jazda trwała i znaleźliśmy się na podwórzu komendy. Milicjanci ustawili się szpalerem. Wszyscy z tymi pałami w łapach. Myślałem, że wczmą nas w obroty i wymłócą. Na wszelki wypadek głowę wcisnąłem w ramiona i przymknąłem oczy. Nic takiego jednak nie nastąpiło, tylko popędzili nas schodami na dół do piwnicy. Tu wtłoczeni zostaliśmy do niewielkiego pomieszczenia z okratowanym okienkiem pod sufitem. Było nas kilkudziesięciu i tak staliśmy jeden przy drugim w tej ciemnej, dusznej celi. Ludzie z łapanki. Tkwiłem ściśnięty, że nawet ruszyć się nie mogłem i pocić się zacząłem obficie. Nasłuchiwałem szybkich, energicznych kroków na korytarzu. Biegali tam i z powrotem, pokrzykiwali.

Zakotłowało mi się w głowie. To Witno sprzed tylu lat. „Czerwony Sztandar”. Ten skrzypek-garbus... Cmentarz na Rossie. Tam chodziłem z ojcem. Babka moja leżała. Obok aniołek z granitu. Odłupane miał skrzydło. Wilia w górę do Werek. Łaziłem jej brzegiem. Na Antokol szło się zawsze koło przystani... Takie i inne sielskie obrazki!

Stoczeni byliśmy okropnie. Jeden na drugim. Młodzież. Paru nieźle pobitych. jeden płacze. Drugi przeklina. Co z nimi zrobią? Ja też kiedyś tak samo. Lata minęły, tyle lat. Zmaglowali człowieka, Sprasowali. Wyschnięty taki, kurczy się i rozsypuje. Oni po prostu siły nam odbierają. Wysysają swoimi sposobami. Energię, moc ducha, wszystko! Boże, zmiłuj się nad Wilnem!

Już wiem! To był artykuł wstępny w „Słowie”. Zapewne Cat-Mackiewicz napisał. On był filarem tego pisma.

Na korytarzu ciągle ta bieranina. Raz po raz zgrzyta klucz w zamku. Podniesione głosy. Z nagła narodził się w mojej głowie pewien koncept, fortel, czy jak to nazwać. Jeszcze sprawdziłem w górnej kieszonce marynarki. Były! Nawet dwie. Niewiele myśląc przepchnąłem się jakoś do drzwi i zacząłem walić, kopać w te masywne, obite blachą drzwi. Po dłuższej chwili uniosła się klapka judasza i zobaczyłem oko.

— Ja w pilnej sprawie do oficera dyżurnego! — powiedziałem bardzo głośno i stanowczo.

Strażnik otworzył drzwi. Popatrzył na mnie badawczo. Mrugnąłem jednym okiem.

— Chodźcie — zdecydował.

Moi towarzysze niedoli tak na mnie popatrzyli. Wszyscy. Cóż mogłem im powiedzieć? Odczytałem doskonale wymowę tych spojrzeń. Strażnik poprowadził na górę do oficera.

Ten oficer nieprzyjemny, suchy. Długo nie zwracał na moją obecność żadnej uwagi. Grzebał w jakichś papierach.

— Co chcecie? — warknął wreszcie,

— Jestem chory na serce. Po zawale. — I na dowód prawdy wyciągnąłem nitroglicerynę z kieszonki. Dwie pigułki.

Oficer wziął w palce jedną pigułkę. Długo oglądał. Potem na mnie popatrzył. Wiercił mnie swoim wodnistym, przenikliwym okiem.

— Wzięty zostałem — powiedziałem szybko — nie wiem za co...

— Dobra! — przerwał gwałtownie. — Starczy!

Wykręcił jakiś numer na tarczy telefonu. Bez skutku. Posłyszałem zajęty sygnał. Odłożył słuchawkę.

— Urodzony w ZSRR — zajrzał w mój dowód. — Wilno.., — zrobił pauzę. — Zwalniam was. Tylko pamiętajcie! — pogroził palcem — nie wolno wam mieszać się do niczego.

Oddał mi dowód. Wartownik odprowadził do bramy. Byłem wolny. Chyłkiem pod murem popędziłem do domu. Tylko kwadrans do godziny policyjnej!